



angry
GODDESS

Gods of Law #2

Kontynuacja *Angry God!*

JULIA BRYLEWSKA



Copyright ©
Julia Brylewska
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Anna Strączyńska
Korekta:
Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-838-0

JULIA BRYLEWSKA

ANGRY GODDESS

GODS OF LAW #2

OŚWIĘCIM 2022

Dla tych, którym choć raz podcięto skrzydła.

Prolog

20 stycznia

Godzina 2:34

Marnie od dzieciństwa wiedziała, że zginie od postrzału. Nad wyraz dokładnie pamiętała moment, w którym pojawiła się ta pewność. Miała wtedy sześć lub siedem lat. Z tamtego okresu w jej pamięci utkwiał jedynie sen, który zbudził ją w środku nocy. Dysząc, ze skroniami oblanymi potem i mocno bijącym sercem, usiadła na brzegu dziecięcego łóżka w swoim pokoju na trzecim piętrze domu rodziców. Uniosła drżące dłonie i dotknęła nimi miejsca, w które we śnie trafił wystrzelony z pistoletu pocisk. Nie poczuła lepkości krwi ani bólu. W tamtej chwili towarzyszył jej jedynie strach.

Gdy tkwiła w sennym koszmarze, z jej gardła musiał wyrwać się krzyk, bo zbudzony w środku nocy tata pojawił się w progu sypialni. Mężczyzna wydawał się wyraźnie zaniepokojony. Przez kolejne minuty tulił ją i zapewniał, że wszystko, co wydawało się tak przerażająco prawdziwe, było jedynie snem. Jednak w Marnie już wówczas zakiełkowała pewność, że umrze właśnie w taki sposób, w jaki umarła w koszmarze.

Nie traktowała tego jak przekleństwo. Choć wiedziała, że większość ludzi na jej miejscu zapewne unikałaby wszystkiego, co miało związek z bronią czy też postrzałem, Marnie, jak na ironię, postanowiła wstąpić do policji. Marzyła o karierze detektywa śledczego, być może nawet stanowisku w jednym z biur FBI.

Z marzeń pozostała jednak wyjątkowo marna garstka pięknych wizji i odrobina rozczarowania. Po kilku latach służby funkcjonariuszka trafiła na posterunek mieszczący się nieopodal niewidzialnej granicy oddzielającej Manhattan od Bronxu. Nie mogła narzekać. Praca w tym miejscu należała do stosunkowo przyjemnych, a nocne dyżury, które kobieta zwykła brać, przebiegały spokojnie i bez zakłóceń.

Cóż, nie licząc Charlesa Mendeza, z którym na swoje nieszczęście pełniła służbę w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego stycznia.

Dostrzegła go kątem oka. Nie odrywając spojrzenia od ekranu komputera, gdzie właśnie kończyła oglądać ostatni odcinek szóstego sezonu *Friends*, zapytała:

– Dokąd właściwie się wybierasz?

Charles zatrzymał się niespełna metr od szklanych drzwi. Tuż za nimi rozciągała się opustoszała skąpana w blasku lamp ulica. Mężczyzna odwrócił ku Marnie głowę i obdarzył ją najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki było go stać.

– Odpuść. Twój urok osobisty na mnie nie działa – mruknęła znudzona.

Działał natomiast na większość damskiej części pracownic posterunku – a także, jak przypuszczała Marnie, na jedną czwartą męskiej części, ale nie miała co do tego pewności. Była natomiast pewna, że Charles Mendez jak w każdy piątek wymykał się z dyżuru, by spędzić przynajmniej godzinę na obściskiwaniu się na tylnym siedzeniu swojego mercedesa z Anną. Anna zajmowała się archiwum, czasami przynosiła kawę lub drukowała papiery. Była ładna, urocza i śmiała się w sposób, który sprawiał, że stojące w pobliżu osoby po chwili zaczynały się zastanawiać, czy nie zabrakło jej tlenu.

Marnie mimowolnie pomyślała o tym, czy odgłosy, jakie z siebie wydaje, gdy ręka Charlesa wsuwa się pomiędzy jej jędrne uda, są równie zabawne jak ten śmiech.

– Tylko ten jeden raz, Marnie. – Pojawił się po drugiej stronie blatu.

– Dobrze wiesz, że wymykanie się z dyżuru jest wbrew regulaminowi...

– Podobnie jak oglądanie głupich seriali komediowych na służbowym komputerze – zauważył, po czym zerknął na wiszące w kącie pomieszczenia urządzenie. – Wiem, że wyłączasz kamery, żeby nikt cię nie nakrył. – Pokręcił głową, pochylił się i w końcu szepnął: – Każdy ma swoje małe brudne sekrety.

Marnie uniosła leniwie wzrok, a następnie wykrzywiła wargi w grymasie.

Charles należał do grona facetów, którzy w pewien sposób obrzydiali policjantkę – był w stanie przelecieć każdą kobietę, która uśmiechała się do niego dłużej niż przez dwie sekundy. Następnego dnia jego słynne opowieści, zatytułowane przez innych funkcjonariuszy: „Przygody na tylnym siedzeniu Mendeza”, rozbrzmiewały w całym komisariacie. Był jednak dobrym policjantem i tego nie mogła mu odmówić.

– W porządku. – Dała za wygraną, wiedząc, że nawet jeśli powiedziałyby o nocnych ucieczkach Charlesa, musiałyby wkopać także samą siebie, ujawniając, że kilka minut wcześniej wyłączyła kamery. – Zejdź mi z oczu.

Charles posłał jej coś w rodzaju uśmiechu pełnego zwycięskiej dumy. Gdy szklane drzwi w końcu się za nim zatrzasnęły, w komisariacie zapanowała przyjemna cisza.

Marnie poczekała, aż odcinek serialu dobiegnie końca, potem chwyciła pusty kubek po kawie i ruszyła w kierunku automatu. Stał w wąskim korytarzu, a kawa, którą z siebie wypluwał, smakowała gorzej niż ta z metra w centrum Nowego Jorku.

Kobieta wstawiła kubek do maszyny, wcisnęła odpowiedni przycisk, oparła plecy o ścianę i wsłuchiwała się w dźwięk pracującego urządzenia. Automat liczył już kilka lat, więc napełnienie

naczynia kawą zajęło mu dobre dwie minuty, po których Marnie chwyciła kubek z nie tak ciepłą kawą, jakiej mogłaby oczekiwać.

Właśnie wtedy panującą na komisariacie ciszę przerwał trzask szklanych drzwi.

Kącik ust Marnie uniósł się w lekkim uśmiechu.

– Niech zgadnę, Anna cię wystawiła... – Urwała, kiedy jej wzrok spoczął na drzwiach.

Na szklanej szybie widniały podłużne, przypominające zrobione palcami smugi, ślady krwi.

– Charles? – Zmarszczyła brwi, odstawiła kubek z kawą tuż obok komputera, na którego ekranie włączył się kolejny odcinek serialu, po czym podeszła bliżej wejścia. – To nie jest zabawne, więc jeżeli próbujesz zrobić mi jeden z tych swoich głupich kawałów... – Słowa utknęły jej w gardle, zduszone nagłym przeżeniem.

Tuż za sobą usłyszała urywany oddech, a w odbiciu szklanych drzwi ujrzała męską sylwetkę, która z pewnością nie należała do Charlesa.

Choć Marnie szczerze go nie znosiła, teraz tak bardzo pragnęła, by to właśnie on stał tuż za nią.

Odwróciła się powoli, wcześniej jakimś cudem odnajdując w sobie resztki odwagi. Dostrzegła chłopaka, nastolatka, chudego i drobnego. Miał na sobie brudne od krwi i ziemi ciemne ubrania – nieco za dużą bluzę z kieszeniami i sprane dżinsy. W wiszącej luźno dłoni trzymał pistolet.

Marnie przypomniała sobie o koszmarze, który nawiedził ją, gdy była jeszcze dzieckiem – o kuli przebijającej jej serce. Gdzie teraz był jej tata? Powinien chwycić ją w ramiona i obiecać, że to, co widzi, nie jest prawdziwe.

Pistolet był umazany krwią, tak samo jak buty nastolatka.

Policjantka próbowała dostrzec twarz chłopaka, ale miał spuszczoną głowę. Ciemne, długie włosy opadały mu na po-

liczki. Uniósł podbródek, gdy Marnie postawiła pierwszy krok w przód. Zawahała się, kiedy spojrzał na nią oczami pełnymi łez.

Twarz również miał brudną od krwi. Przypominała piegi zdo-
biące blade mokre od płaczu policzki.

Chłopak rozchylił wargi i szepnął słabym głosem:

– Zabiłem ją...

Rozdział 1

Przez cmentarz przemknął mocny powiew chłodnego wiatru, który wdarł się pod poły jasnego płaszcza okrywającego ramiona Violet McMillan.

Stojąc pomiędzy dwoma nagrobkami, starała się odpędzić znużenie. Zmęczenie próbowało wkraść się do jej umysłu, choć chłód poranka nieco otrzeźwiał zbłąkane myśli dziewczyny. Odwróciła wzrok od drżących na wietrze liści odległych drzew i spojrzała na wyryte w jasnych kamieniach imiona i nazwiska: Marie McMillan oraz John McMillan.

Ciszę panującą w tym miejscu o tak wczesnej porze przerwał dźwięk telefonu. Violet poruszyła zdrtwiałą od zimna dłońią i z kieszeni płaszcza wydobyla komórkę. Spomiędzy ust dziewczyny wyrwało się głębokie westchnienie, gdy zauważyła znajomy numer.

Odebrała, przycisnęła urządzenie do policzka i, nie tracąc czasu na zbędne formalności, za jakie uznała powitanie, rzuciła:

– Jest siódma rano, Harry.

– Tak, wiem, ale... – Wydawał się nieco zakłopotany. – Do kancelarii wpadła jakaś kobieta. Zaproponowałem, że znajdę dla niej najbliższy wolny termin spotkania, ale uparła się, usiadła w poczekalni i powiedziała, że na ciebie poczeka. Mam kazać jej odejść czy...

– Jestem już w drodze – wtrąciła. – Dotrę do kancelarii najszybciej jak to możliwe – dodała, a sekundę później zakończyła połączenie.

Schowała telefon do kieszeni płaszcza, odwróciła się i zdołała postawić zaledwie krok, zanim zatrzymała ją dziwna, nienatu-

ralna siła, której pochodzenia Violet nie była w stanie wytłumaczyć. Jeszcze raz zerknęła w kierunku nagrobków, pośpiesznie odgarnęła zabłąkany kosmyk z zaróżowionego policzka, po czym mruknęła:

– Naprawdę muszę już iść.

Dlaczego za każdym razem, kiedy nadchodził czas, by opuścić to miejsce, czuła się tak, jakby zostawiała ich tutaj samych? Przecież wiedziała, że było to absurdalne, pokręcone, ale również w jakiś dziwny sposób... kojące. Złudna świadomość, że nie była całkiem sama, dodawała jej otuchy, nawet jeśli tym, co niwelowało wrażenie samotności, były dwie bryły szarego kamienia, na których widniały powoli blaknące imiona jej rodziców.

Powstrzymała się przed obiecaniem, że wróci. Zawsze wracała. Każdego poranka odwiedzała to miejsce, łudząc się, że pewnego dnia potrzeba przyjscia tutaj zniknie.

Przeszła pomiędzy nagrobkami, opuściła mury otaczające cmentarz i na parkingu skierowała się w stronę swojego samochodu. Był poniedziałek, więc na trasie do kancelarii natrafiła na poranne korki, w których spędziła kilkadziesiąt minut. W pracy zjawiła się przed ósmą, choć zgodnie z widniejącym na szklanych drzwiach napisem, biuro budziło się do życia dopiero o dziewiątej.

Tuż przy wejściu natknęła się na Harry'ego. Z lekkim uśmiechem odebrała od niego kubek ciepłej kawy i ruszyła korytarzem w kierunku swojego gabinetu. Chłopak popędził za nią. Był niższy niemal o głowę, więc nadążenie za stawianymi przez Violet szybkimi krokami kosztowało go nieco wysiłku.

– Pani Nixon wciąż czeka w poczekalni...

– W porządku – ucięła. Zatrzymała się i spojrzała przelotnie na asystenta, przez co pośpiesznie poprawił okulary, które zsunęły się na czubek jego nosa. – Przygotuj papiery dotyczące sprawy Reylonds Company. Chcę mieć je na biurku najpóźniej za godzinę.

– Oczywiście...

– Gdy pojawi się Owen, poproś go, żeby do mnie przyszedł, zanim pojedzie do sądu.

Harry skinął energicznie głową. Violet nie wiedziała, skąd ten chłopak miał tak wiele energii o ósmej rano, ale dopóki wywiązywał się ze wszystkich zadań, jakie mu powierzała, nie zamierzała narzekać.

W przytulnej poczekalni prawniczka zauważyła około czterdziestoletnią kobietę. Nieznajoma była drobna, szczupła, miała jasne, krótkie włosy i azjatyckie rysy twarzy. Gdy tylko dostrzegła Violet, zerwała się z obitej czarną skórą kanapy, nerwowo poprawiając przy tym materiał kremowej garsonki.

– Przepraszam, że wpadłam tutaj bez wcześniejszego umówienia terminu...

– Nie szkodzi – zapewniła Violet, wyciągając dłoń w kierunku kobiety. – Violet McMillan.

– Nora Nixon.

– Porozmawiamy w moim gabinecie – poinformowała, popychając drzwi, które wciąż były opatrzone imieniem i nazwiskiem jej ojca.

Choć od jego śmierci minęło wiele nieznośnie długich miesięcy, dziewczyna nie zdecydowała się na zastąpienie jego imienia własnym. To jedna z tych spraw, na które nadal nie była gotowa.

– Proszę usiąść – poleciła, odstawiając na blat biurka kubek.

Nora Nixon zajęła miejsce na jednym z dwóch foteli, nerwowo zaciskając dłonie na kopertowej torebce. Jej długie, chude palce były ozdobione trzema złotymi pierścionkami. Paznokcie pomalowała krwistoczerwonym lakierem podobnym do koloru pomadki pokrywającej jej wąskie usta.

Violet odwiesiła płaszcz na stojący tuż obok okna wieszak, starając się nie patrzeć na rodzinne fotografie zajmujące parapet. Zdjęcia były kolejnymi rzeczami, których się stąd nie pozbyła. Cóż, właściwie nie wyrzuciła ani nie ruszyła niczego, co należało do jej ojca.

Kiedy ponad rok wcześniej została głową rodzinnej kancelarii, nie chciała zajmować gabinetu, w którym John wcześniej spędzał niemal każdą chwilę, ale Owen tak bardzo na to nalegał, że w końcu odpuściła. Wciąż nie potrafiła poczuć się w tym miejscu swobodnie, zupełnie jakby nigdy nie powinno jej tutaj być.

– Napije się pani kawy, herbaty? – zaproponowała, wracając myślami do obecnej chwili. Zbyt często dawała się porwać wspomnieniom.

– Dziękuję. Ten uroczy chłopiec już mi to proponował.

Prawniczka powstrzymała chęć napomknięcia, że Harry nie był już chłopcem, choć jego nieco dziecięcy wygląd sugerował coś przeciwnego. Od pół roku pełnił funkcję asystenta, jednak niektórzy klienci kancelarii byli przekonani, że chłopak był młodszym bratem Violet.

– W czym mogę pomóc, pani Nixon? – Usiadła za biurkiem.

– Chodzi o tego kretyna... to znaczy mojego męża. – Odetchnęła głęboko, zduszając nagły porыв emocji. – Rozwodzimy się.

– Rozumiem.

– Nie, z pewnością pani tego nie rozumie – zaprzeczyła, po czym po raz kolejny westchnęła. – Przepraszam, jestem trochę zdenerwowana – wyjaśniła pośpiesznie. – Mój mąż jest dyrektorem dużej firmy, a ja przez wszystkie te lata zajmowałam się domem, ponieważ jego zarobki były wystarczające, bym nie musiała pracować. Teraz, po dwudziestu latach małżeństwa, mój mąż chce zostawić mnie z niczym – prychnęła. – Wiem, że jest pani najlepsza. Widziałam te wszystkie artykuły w magazynach prawniczych...

Violet nie zdołała zapanować nad grymasem, jaki cieniem rzucił się na jej twarz. Odkąd wygrała głośną sprawę jednej z dużych korporacji, pisma prawnicze nie chciały się od niej odczepić.

– Przykro mi, ale zazwyczaj nie zajmuję się sprawami dotyczącymi rozwodów. W naszej kancelarii pracuje kilkoro równie dobrych prawników, którzy z pewnością...

– Nie. – Nora pokręciła głową. Uśmiechnęła się w sposób, który równie dobrze mógł być kolejnym grymasem. – Nie rozumie pani. Nie potrzebuję kogoś dobrego. Mój mąż jest w stanie zrobić wszystko, żeby zostawić mnie na lodzie i upokorzyć. Potrzebuję kogoś najlepszego. Kogoś takiego jak pani.

– Naprawdę mi przykro, ale...

– Patric miał rację – mruknęła. – To on mi panią polecił. Dlatego przyleciałam tutaj aż z Nowego Jorku. Zna pani Patrica Nolana, prawda?

Violet zeszytniała, słysząc brzmienie tego nazwiska. Choć spotkała Patrica Nolana zaledwie dwa razy, był on tak wyrazistą postacią, że nawet gdyby naprawdę tego pragnęła, nie byłaby w stanie wyrzucić go z pamięci. Nie potrafiła wyrzucić z niej szczególnie wieczoru, kiedy zgodziła się zagrać z nim w pokera, by zdobyć sprawę dla...

Potrząsnęła głową, uznając, że nie był to najlepszy moment na powrót do tamtych chwil.

– Tak, ale naprawdę nie jestem w stanie pani pomóc. Może porozmawia pani z którymś z moich kolegów? Większość z nich ma spore doświadczenie w sprawach dotyczących podziału majątku... – Zamilkła, kiedy kobieta gwałtownie zerwała się z fotela.

– Nie. Zależało mi właśnie na pani. – Wydawała się zrezygnowana. – Jeszcze raz przepraszam, że wpadłam bez zapowiedzi. Najwidoczniej niepotrzebnie... – Odwróciła się, lecz nagle przystanąła. – Patric powiedział, że z pewnością się pani zgodzi, szczególnie gdy usłyszysz pani, że adwokatem reprezentującym mojego męża jest Oliver Sanclair.

Violet poderwała głowę. Pewność, że się przesłyszała, boleśnie zmalęła, gdy Nora Nixon jeszcze raz na nią spojrzała. Teraz wyglądała jak kobieta, która zawsze dostawała to, czego chciała. Uniosła nieco wyżej szpiczasty podbródek.

– Słucham?

– Oliver Sanclair – powtórzyła. – Czy to nazwisko przekona panią do zmiany zdania?

Ból głowy towarzyszył jej, odkąd Nora opuściła gabinet, mimo to Violet wróciła do domu dopiero późnym wieczorem. Zazwyczaj pojawiała się w kancelarii jako pierwsza i opuszczała ją jako ostatnia.

Zaparkowała samochód w garażu i bocznym wejściem dostała się do środka rodzinnej rezydencji. Przywitała ją cisza przerywana jedynie odgłosami szpilek uderzających o marmurową posadzkę, kiedy Violet przechodziła do ogromnej, pustej i cichej kuchni. Dziewczyna wyjęła z szafki opakowanie leku na ból głowy, po czym połknęła dwie tabletki.

Dostrzegła szklanekę po szkockiej stojącą na blacie, na który odstawiła butelkę z wodą. Zgarnęła szkło, włożyła je do zmywarki, a następnie wyjęła z niej czysty kieliszek. W lodówce czekała na nią butelka *The Velvet Devil*. Napełniła kieliszek czerwonym winem, pozbyła się wysokich szpilek, po czym przeszła do salonu. Odetchnęła z ulgą, gdy jej stopy zatopiły się w puchatym dywanie.

Opadła na kanapę, upiła łyk alkoholu, a następnie odchyliła głowę i rozluźniła spięte po całym dniu ciało. Wielu ludzi traktowało powrót do domu jako początek odpoczynku, ale myśli Violet nawet tutaj skupiały się na pracy. Tak było łatwiej odgrodzić się od wszystkiego, co dopadało ją za każdym razem, kiedy wracała do tych murów. Choć przebywanie tutaj kosztowało ją wiele wysiłku, nie potrafiła sprzedać rezydencji.

Wychowała się tutaj. W tym salonie, na tej podłodze, stawiała pierwsze kroki. Na dodatek z tym miejscem wiązały się dobre wspomnienia.

Upiła kolejny łyk wina i zanim ponownie dała ponieść się rozmyślaniom, na moment straciła czujność. Pozwoliła, aby do jej umysłu wdarło się to, czego nie chciała tam wpuścić. Wizyta, którą z samego rana złożyła jej Nora Nixon, zasiała w Violet wątpliwości. Prawniczka starała się wytłumaczyć słabszej części swojej świadomości, że nie mogła się im poddać.

Nie była specem w sprawach związanych z podziałem majątku, a Nowy Jork był jednym z miejsc, które zostawiła za sobą.

Jęknęła cicho, prostując się na tyle, aby chwycić leżący nieopodal telefon. Wybrała numer, przycisnęła urządzenie do ucha, po czym wstała z lampką wina w dłoni i podeszła do jednego z szerokich okien. Na zewnątrz rozciągał się skąpany w delikatnym blasku lamp ogromny ogród. Nie pamiętała, by w ostatnich miesiącach wyszła do niego choć raz.

– Nie uwierzysz, ale właśnie o tobie myślałem – odezwał się głos w telefonie.

Delikatnie się uśmiechnęła.

– Wszystko w porządku? – zapytał Derek.

– Tak – odpowiedziała. – Chyba po prostu się za tobą stęskniłam...

– W takim razie musisz wpaść do Nowego Jorku. Będiesz miała okazję w końcu poznać Larry’ego. No i zobaczysz nasze dziecko jeszcze przed otwarciem.

Dzieckiem była kawiarnia, którą niebawem mieli wspólnie otworzyć Derek i jego chłopak. Violet nie miała jeszcze okazji osobiście spotkać Larry’ego. Znała go jedynie z zasłyszanych na jego temat opowieści. Mężczyzna musiał być dla jej przyjaciela kimś naprawdę ważnym, skoro Derek był gotowy na jakiś czas zrezygnować z pisania, by zająć się wspólnym biznesem.

– Tylko nie próbuj znowu tłumaczyć się pracą – ostrzegł.

– To nie takie proste.

– Wiem, że masz dużo na głowie, V. Nadal uważam, że za szybko wróciłaś do pracy po śmierci ojca, ale spokojnie, nie za-

mierzam robić ci z tego powodu kolejnego wykładu. Nie teraz. Larry przygotował makaron na kolację.

– W takim razie nie będę wam przeszkadzała.

– Hej, V.

– Tak?

– Pamiętaj, że tutaj jestem, okej? Gdyby coś się działo, wynajmę pieprzony helikopter i w ciągu godziny zjawię się w tym przeklętym Los Angeles.

– Wiem. – Uśmiechnęła się smutno. – Miłej kolacji. I pozdrów ode mnie Larry'ego.

– Jasne.

Przerwała połączenie. Upiła kolejny łyk wina, opróżniając kieliszek, i oparła głowę o zimną ścianę. Przez moment pustym wzrokiem wpatrywała się w ogród spowity ciemnością, a potem przesunęła spojrzeniem po pustym salonie. Raz w tygodniu wpadała tutaj sprzątaczką, która nie miała zbyt wiele do roboty. Violet spędzała większość czasu w kancelarii, a w domu zjawiała się jedynie wieczorem, żeby przespać kilka godzin i wczesnym rankiem znowu udać się do pracy.

Przygryzła dolną wargę, zerkając na telefon. Po chwili ponownie przyłożyła urządzenie do policzka.

– Wiem, że jest późno – mruknęła.

– Coś się stało? – Harry brzmiał na nieco zaspanego.

– Obudziłam cię?

– Nie – odpowiedział.

Dziewczyna wiedziała, że skłamał.

– Gdy dotrzesz rano do kancelarii, zadzwoń do Nory Nixon i przekaz jej, że zmieniałam zdanie.

– To wszystko?

– Będzie wiedziała, o co chodzi. Potem zarezerwuj dla mnie lot do Nowego Jorku na najbliższą środę.

– Klasa biznesowa?

– Tak. To wszystko, Harry. Przepraszam, że zawracam ci głowę po pracy.

– Nic się nie stało. Jak długo planujesz być w Nowym Jorku? Mam od razu zarezerwować bilet powrotny?

– Nie. – Spojrzała na pusty kieliszek. – Obawiam się, że nie wrócę tak szybko.